Rok VII. Luty 1932. № 2.



Cena N-ru pojed. 20 gr. Pren. roczna 2 zł.

Redakcja uprasza zalegających z prenumeratą o rychłe jej wyrównanie — wszystkich zaś o życzliwe poparcie. Pieniądze za prenumeratę i wszystkie ofiary prosimy przesyłać pod adresem: Redakcja Pochodni Serafickiej Kraków O.O. Franciszkanie pl. W. W. Świętych 5, Nr. czeku 407.634.

TREŚĆ ZESZYTU

OFIARY ZŁOŻYLI:

Na Misje franciszkańskie: Kraków: Krucjata Misyjna Sióstr III Zak. przy kość. OO. Franc. 50; Krucjata Misyjna Dzieci 3 zł. 10; z przedstawienia 50; Z Akademji Misyjnej Sekcja Misyjna 50; N. N. 5; Z. Ż. 10; Kozakówna 3; O. Samuel 40; Golówna 5; Kaszubianka 5; Górczana 5; Wszołek 2; Głowacka 2; Hanaczów: Krucjata Misyjna III Zak. 47; Juszkowo: Stachowiakówna 3; Sołotwina: Nalewajko 10; Sanok: Józefowicz 3; Kraków Czarnik 2; Rusz Barbara 50; Charmus 2; Ponikiewska 1; Wołoszynowska 2; Mamczarczyk 2.

NA BEATYFIKACJĘ Czcig. O. Rafała Chylińskiego franc. Janowiec: Sieg 2; Poznań: Adamska 5 z podziękowaniem. Czeladź Tersińska 10 z podziękowaniem. Kraków: Kurek 3; Wilno: Bendeleńka 2; Warszawa: Sitarzkówna 10 z podziękowaniem.

Na dywan św. Antoniego: Grudzińska z Ciechocinka 3. Wiśniewska z Puław 20 zł.

Wszystkim ofiarodawcom „Bóg zapłać".

Rok VII. LUTY 1932 R. Nr. 2.

POCHODNIA SERAFICKA

ORGAN TRZECIEGO ZAKONU I STOW. FRANC. KRUCJATY MISYJNEJ.

Na Gromniczną.

Noc powoli pierzcha... Ciemny błękit niebios zasiany tysiącem gwiazd jaśnieć zaczyna... Na wschodzie zaróżawia się jeden obłoczek, drugi, tysiączny... A z nich wyszło ogromne słońce. Piękny, cudny poranek. Rosa — jak złociste perły rozsiane po ziemi — iskrzyły się tu i ówdzie na wątłych jeszcze, zaledwie do życia powołanych roślinkach. Majestat ciszy dokoła panuje... Czasem tylko zerwie się lekki — przyjemny wietrzyk i uderzy delikatnie o gałązki drzew — a one trącone kołyszą się — szepcą niby słowa rzewnej modlitwy.

Drogą wśród zieleni — jak wstęga białą — idzie dwóch świętych pielgrzymów z Dzieciną-Niemowlęciem. Na ustach ich słodycz niezwykła — na twarzy spokój nie z tej ziemi. — Idą wśród czarującej jak gdyby na umyślnie tak uroczo strojącej się przyrody. Cóż to za pielgrzymi? Marja i Józef a na rękach ich świętych Zbawiciel świata — Jezus — wcielone Słowo! Spieszą do świątyni położonej w Jeruzalem — by wypełnić Mojżesza prawo — przez ofiarowanie Bożej Dzieciny Ojcu Niebieskiemu. Przybyli po drogi trudach i stanęli u bram Salomona świątyni. Poważnie dokoła było... Potęga Boża dziwnie — wymownie zdawała się przemawiać w tem świętem ustroniu — Serce Marji i Józefa ogarnęło wesele jakieś niepojęte. Dusze ich — jak wody kryształy czyste świetlane, ozdobne w djamenty cnót wzlatują w nieba przestworze na skrzydłach kornej, dziękczynnej modlitwy. I długo, długo adorują Tego, co a ich rękach złożył depozyt najdroższy — Syna Swego

Jedynego... Powstali z świętego zachwytu i idą tam, gdzie zwyczajem było ofiarować dzieci swe.

W chwili, gdy Marja z Józefem wchodzą do kościoła — staruszek bogobojny imieniem Symeon — zabiega im drogę. Oczekiwał ten pobożny Izraelita — „pocieszenia Izraelskiego“ t. j. Odkupiciela, Zbawcy rodzaju ludzkiego i pierwej umrzeć nie miał, *„póki oczy jego nie oglądają Zbawienia“*. Idzie za wewnętrznem natchnieniem Ducha świętego — do Marji — i bierze z rąk Jej dziewiczych Tego — na Którego lat tyle oczekiwał i błogosławił mówiąc: „Teraz puszczasz sługę twego, Panie, w pokoju, według słowa Twego, gdyż oczy moje oglądały zbawienie Twoje, któreś nagotował przed oblicznością wszystkich narodów, światłość na objawienie poganów i chwałę ludu Twego izraelskiego“.

Zapłonęło serce bogobojnego starca miłością bez granic — bo wiedział, że Jezus przyszedł po to na tę ziemię, aby ją podźwignąć, umoralnić przez Boskie Swe posłannictwo! Oddając zaś Dziecię Marji powiedział: „Duszę Twą własną przeniknie boleści miecz“. Zrozumiała Marja te okropne słowa do Niej skierowane, gdyż Bóg w tej chwili niejako uchylił zasłonę przyszłości przed Nią — a Marja w niej ujrzała w całej sromocie i grozie Syna — Jedynaka na krzyżu — na tronie męczeństwa — umierającego. Symeon zamilkł — a Marja z sercem zranionem idzie dalej — by dokończyć ofiarowania aktu. Kapłan przyjął od Marji pięć syklów — okupu cenę — a potem wziął Bożą Dziecinę na ręce, podniósł je w górę na znak, iż ofiaruje Je Bogu. Dopełniwszy zaś aktów ofiarowania — kapłan — oddał Dziecię Marji — a Ona z Józefem wykonawszy wszystko — co zapisanem było w Zakonie Pańskim — opuściła mury przybytków Świętych — wróciła tam, skąd była przyszła.

* * *

I my rok rocznie — bieżymy w święto Oczyszczenia Niepokalanej do świątyń Pańskich — idziemy z gromnicą w ręku, by ją poświęcić — podobnie jak Marja z jedynym Swym ukochanym Synem bieżała Owe płonące światło w ręce naszej — to niejako mistyczny symbol — światłości niebieskiej — która z niebios zstąpiła „na objawienie pogan“ i zapaliła gasnące już prawie w sercach ludzkich kaganki wiary. *Fr. W.*

Poranek.

Jezu! Twe słodkie imię budzi mnie co rana
Jak pocałunek matki, gdy w lata Dziecinne
Pieszczotami płoszyła z oczu sny niewinne
Szepcąc słodko: Czas wstawać, dziecino kochana!
Dziś już nie ust matczynych leciuchne dotknięcia,
Ale Twój głos, o Jezu łagodny i miękki
Budzi mnie: Wstań mi śpiewać, mój ptaszku maleńki!
Oto czekam na ciebie! Zleć w moje objęcia.
Dobry Jezu! Ku Tobie mój duch się wyrywa,
Myślą biegnę przed ołtarz, gdzie mieszkasz ukryty.
Kościół cichy i pusty, mrokami spowity
Jeno słabym promykiem lampka dogorywa.
Panie mój! Oto niosę Ci lampę płonącą,
To moje biedne serce miłością przejęte
I czuwam u drzwi Twoich na Twe przyjście święte
Kiedy raczysz nawiedzić mą duszę tęskniącą.
O Jezu! Boska Hostjo! Tyś słońcem mej duszy,
Do Ciebie dnia każdego z miłością się garnę
I nigdy zbyt nie ciąży mi życie ofiarne,
Twój Boski pocałunek łzy z oczu osuszy.
O Jezu! wszystko dla mnie słodkie z Twojej ręki
Niczego się nie lękam, kiedyś Ty jest ze mną,
Czy w jasny dzień radości, czy w noc smutku ciemną,
Za ból, czy za pociechę chcę Ci składać dzięki.
Lecz bez Ciebie, mój Panie, więdnę i usycham
Jako bez rosy w skwar letni bladziutkie powoje.
Przyjdź, Jezu, Boska Roso! ożyw serce moje,
Niech wzrastam w Twej miłości, miłością oddycham.

L.

Błogosławiony Łukasz Belludi.

Wyznawca I. zakonu św. Franciszka Seraf.

(17 lutego)

Z okazji 700-letniego jubileuszu błogosławionego zgonu św. Antoniego z Padwy pisano wiele w ubiegłym roku o tym wielkim, powszechnie czczonym i kochanym Cudotwórcy. Dla uzupełnienia niejako różnych szczegółów, dotyczących św. Antoniego a przedstawionych i w długich życiorysach i w obszernych rozprawach, w ulotnych wierszach i barwnych obrazach, podajemy do wiadomości czytelnikom „Pochodni Serafickiej" krótką wzmiankę o życiu najwierniejszego naśladowcy św. Jubilata, jego ukochanego ucznia i wiernego towarzysza w apostolskich podróżach. Był nim, współcześnie żyjący ze świętym Antonim, bł. Łukasz Belludi.

Błogosławiony Łukasz, żyjący na początku XIII. wieku, pochodził ze szlachetnej i bardzo zamożnej rodziny Belludów, zamieszkałej w Padwie. Dla pięknego, bogatego, utalentowanego i pełnego zalet młodzieńca, świat caty stał otworem i nęcił go ku sobie, ale bł. Łukasz w samym kwiecie wieku wzgardził wszystkiem, co świat ceni i postanowił wspaniałomyślnie oddać się Panu Bogu na wyłączną służbę.

W tym właśnie czasie 1220 r. przybył do Padwy św. Franciszek z Assyżu z zamiarem założenia dla swych Braci nowego klasztoru. Z pomocą Bożą udało mu się szczęśliwie wszystko uskutecznić i niedługo zamieszkali Bracia Mniejsi w nowej siedzibie w miejscowości Aracoeli znanej później powszechnie w ludowem narzeczu Arcella. Niedaleko tego klasztoru zostało też założone ascetorjum dla Sióstr Klarysek.

Bł. Łukasz Belludi dowiedziawszy się, że św. Patrjarcha przebywa w bliskości Padwy, zwrócił się do niego z gorącą prośbą o habit Braci Mniejszych.

Św. O. Franciszek przyjął bardzo łaskawie gorliwego, pełnego Bożego zapału młodzieńca i pozostawił go między braćmi w Aracoeli. Jako młody zakonnik dostał bł. Łukasz św. Antoniego na Magistra. Świątobliwy uczeń postanowił od pierwszej chwili życia zakonnego iść śladami świętego Mistrza. Po otrzymaniu święceń kapłańskich dostąpił tej łaski, że święty Antoni obrał go sobie za towarzysza i pomocnika w pracach apostolskich. Odtąd bł. Łukasz rywalizował ze świętym Antonim w nawracaniu wielkich grzeszników, zwłaszcza heretyków.

Podczas, gdy św. Antoni występował przeciw Eccelinowi, pod którego tyrańskiemi rządami jęczała Padwa i okolica, bł. Łukasz starał się nawrócić Ansidisjusza pomocnika i najwyższego ministra tyrana Eccelina. Ze świętą odwagą napominał go do poprawy wykazując, jak niegodnie czyni, że nietylko sam niesprawiedliwie występuje przeciw Kościołowi św., ale i drugich do podobnych zbrodni zachęca. Obrażony i rozgniewany Ansidisjusz oskarżył gorliwego Apostoła przed Eccelinem a ten skazał bł. Łukasza wraz z całą rodziną na wygnanie, zabierając równocześnie wielki majątek, należący do rodu Belludów. Do tych ostrych zarządzeń dołączono bł. Łukaszowi zakaz głoszenia nadal słowa Bożego. Świątobliwy zakonnik z budującym spokojem poddał się wyrokom okrutnego tyrana a nie mogąc odtąd słowem bronić Kościoła św. i Ojczyzny, oddał się cały modlitwie, błagając gorąco P. Boga o pomoc dla nieszczęśliwej krainy, jęczącej pod niesprawiedliwemi rządami zbrodniczego Eccelina.

Modły jego zostały wysłuchane. We śnie ukazał mu się św. Antoni zapewniając, że P. Bóg przyjął jego pokorne błaganie i że Padwa zostanie wkrótce uwolniona od bezbożnego tyrana. Co się też wkrótce spełniło.

Oprócz innych wielkich cnót, odznaczał się bł. Łukasz przedziwną roztropnością i dlatego został wkrótce obrany prowincjałem Braci Mniejszych. Na tem stanowisku rozwinął bł. Łukasz wielką gorliwość, mając na celu jedynie chwałę Bożą i dobro zakonu. Kościół padewski „Sancta Maria Mater Domini“, w którym złożono ciało św. Antoniego okazał się wkrótce zbyt szczupły dla wielkiej liczby pielgrzymów spieszących zewsząd do grobu św. Cudotwórcy. Widząc to bł. Łukasz, a mając w żywej jeszcze pamięci ukochanego Mistrza postanowił rozszerzyć znacznie tę świątynię, aby jaknajliczniejsze tłumy mogły spieszyć z uczczeniem św. Relikwij. Nie szczędził w tym względzie pracy i starania i z wielką pociechą dla Braci Mniejszych wkrótce ten zbożny zamiar doprowadził do skutku.

P. Bóg wynagrodził zasługi i świętość bł. Łukasza łaską czynienia cudów jeszcze za życia. Po śmierci, która podług niektórych pisarzy jego życia nastąpiła 1285 roku, zaczął zaraz odbierać cześć publiczną, czego najwymowniejszem świadectwem było, że czcigodne jego zwłoki złożono w tę samą marmurową trumnę, w której spoczywało ciało św. Antoniego, zanim policzony został w poczet świętych. Kult ten przetrwał nieprzerwanie aż do naszych czasów, to też po przeprowadzeniu procesu stwierdzającego heroiczność cnót bł. Łukasza, na prośbę Braci Mniejszych Konwentualnych Ojciec św. Pius XI ogłosił go Błogosławionym 1927 r. *) Bł. Łukasz Belludi, naśladując wiernie św. Antoniego z gorliwością pierwszych Apostołów głosił słowo Boże; prześladowcom Kościoła św. i ciemiężycielom swych poddanych śmiało wykazywał wielkość ich zbrodni i do pokuty nawoływał; usiłowania jego jednak na razie nie przynosiły zbawiennych owoców.

*) Wiadomość o życiu bł. Łukasza Belludi'ego wyjęto z Brewiarza franciszkańskiego.

Dopiero na jego gorące modły, jakie na wygnaniu, gdzie nie wolno mu było głosić kazań, do P. Boga zanosił Padwa wyzwolona zosłała od okrutnego tyrana.

Wielka stąd dla nas wypływa pociecha. I w czasach obecnych Kościół św. jest prześladowany a ojczyźnie naszej liczne i poważne zagrażają niebezpieczeństwa. Po największej części nie możemy stosować zewnętrznej akcji ratunkowej w formie apostolstwa słowa i czynu, możemy jednak, jak bł. Łukasz Belludi modlić się. Więc im groźniejsze niebezpieczeństwa, tem goręcej, ufniej i pobożniej błagajmy P. Boga o ratunek. A modlitwa pokorna i pełna ufności przebija niebiosa, powstrzyma gromy gniewu Bożego i obfitość błogosławieństw nieba sprowadzi na biedną ziemię.

Hajot.

ŚLADAMI OJCA.

Gdy św. O. Franciszek wyrzekł się świata i wzgardził nim zupełnie, odgadł w tej chwili, że świat się teraz mścić na nim będzie, że obrzuci go szyderstwem, prześladowaniem. Natura Ojca mojego z pewnością zadrżała na widok zemsty wroga i jego pocisków. Jednak nie cofnął się, ale odważnie wystąpił do walki. Przed walką każdy rycerz się zbroi. Uczynił to samo i mój św. Ojciec, a zbroją Jego była **samotność, modlitwa, pokuta.**

Najpierw **samotność.**

Ona mnie głównie pociąga w tym miesiącu lutym. Świat kończy swoje huczne, jednak smutne zabawy. Choć nieposłuszny i wiecznie sprzeciwiający się zasadom Ewangelji, czuje jednak potęgę Kościoła św. i umilknie, gdy w uszach jego zabrzmią przerażające słowa: „Memento homo, quia pulvis es, et in pulverem reverteris“ — „Pamiętaj, człowiecze, żeś jest proch i w proch

się obrócisz". Spłoszony groźbą tych słów, cofnie się wstecz i umilknie na czas świętego Postu, knując w sercu dalsze zbrodnicze zamiary... Ale ja ukryję się wcześniej i po to, by zaznać pokoju duszy, by ominąć fałsz i brud, by się nie zmieszać z tłumem zwolenników świata. Świat teraz pali się szczególnie płomieniem żądz, a ten tylko nie spłonie, kto się ratuje ucieczką.

I.

Ojcze święty! cóż pomoże
Patrzeć zdala w cnót Twych zorze,
Lub w świętości Twojej blask?
Jeśli dusza w miejscu stoi
Gdy złud świata się nie boi,
Gdy jej lśni zwodniczy brzask?

Tak! Daremne są moje rozważania o życiu św. O. Franciszka, jeśli za niemi nie pójdą czyny. „Dwom panom służyć nie można." Wiem o tem tak dobrze i oświadczyłam się, że chcę służyć tylko jednemu Panu, Bogu i Stwórcy mojemu, a jednak myśl moja, serce i czyny nawet mówią mi, że służba moja jest jeszcze podzielona między Boga i świat. To mię zawstydza, boli, chciałabym zaprzeczyć temu. Jednak nie mogę, bo w blasku prawdy widzę, że nie należę jeszcze całkowicie do Boga — po tylu rozważaniach i obietnicach.

Ale co właściwie jest tego przyczyną?

Sumienie, które nie kłamie nigdy, bo ono jest głosem Odwiecznej Prawdy, mówi mi, że brak odwagi. Boję się postąpić dalej, czując lęk przed światem, przed moim byłym panem, a raczej tyranem. Puści się w pogoń za mną, gdy zobaczy, że mu się naprawdę wyrywam i prześladować mię będzie. Czuł ten lęk i mój św. Ojciec, ale jak się wobec niego zachował?... Rozważę to i nabiorę odwagi.

II.

Bądź odważną, duszo moja,
Jest dla ciebie silną zbroja,

Tylko ją wdziać na się chciej.
W samotności skryj się skrzydła,
Tam to Świętym ziemia brzydła!
Pójdź odważnie — ufność miej!

Ta samotność mię jednak przeraża. Ja przecież nawykłam do towarzystwa ludzi. Cóż o mnie powiedzą, gdy się nagle od nich odsunę. Co powiedzą? Tak właśnie pyta dziecko tego świata, ale nie dziecko św. Ojca Franciszka. Jego św. Reguła wyklucza względy ludzkie. Nie wolno mi się usuwać od ludzi, gdy im potrzebna jest moja pomoc, rada dobra, usługa, ale dla własnej tylko przyjemności nie powinnam poszukiwać towarzystwa. Jak najdalej od ludzi, zwłaszcza od ludzi światowych. Nie rozpoznam dróg wyższej doskonałości, nie rozmiłuję się w modlitwie, jeśli będę unikała cienia samotności. W tym cieniu i puszczy duchowej Bóg na mnie oczekuje i tam objawi mi Swoją Wolę. Św. O. Franciszek na początku swojego nawrócenia miał wiele objawień od P. Boga, ale zrozumiał ich znaczenie dopiero wtedy, gdy się usunął zupełnie na samotność. Wśród tej samotności rozpalił się w Jego sercu ogień miłości Bożej i miłości bliźniego. Najbardziej płomiennym był właśnie wtenczas, gdy najdłużej przestawał samnasam z Bogiem. A w mojem sercu chłód tylko panuje i tym chłodem obdarowuję innych. Nie może być serce gorące dla bliźnich, jeśli nie rozpala się przy ognisku, jakiem jest sam Bóg, a tego Boga najłatwiej znajduje się w samotności. Choć jest wszędzie obecny, o czem poucza mię wiara, jednak z łaską Swoją zbliża się najbardziej do dusz samotnych i sercem oderwanych od stworzeń.

III.

Ale co mam czynić w samotności?
To samo, co czynił św. Ojciec Franciszek.
A co On czynił?

Przed Bogiem swoją roztwierał duszę.
Milczał, wsłuchiwał się w świętą głuszę.

Spoglądał w głębię swego sumienia.
Pytał o drogę do uświęcenia,
Rozpalał w sercu ogień miłości,
I ja to czynić mam w samotności!

Głównem zajęciem duszy w samotności, to rozmowa z P. Bogiem czyli **modlitwa**. Bez tego samotność nic mi nie pomoże, nie uświęci mię. Wiele jest takich, którym zbrzydło obcowanie z ludźmi, bo doznali od nich przykrości i dlatego szukają miejsc samotnych. Nie chcą widzieć na oczy tych, którzy może tylko niechcący, albo z porywczości ich zranili. Taka samotność jest tylko karmicielką niechęci, żalu, zawiści, które przy najbliższem spotkaniu się, tem gwałtowniej wybuchają i rany rozjątrzają. Więc nie o tej samotności tu mowa. Mnie się trzeba usunąć po to, aby pomówić z Bogiem, bo P. Bóg właśnie na ustroniu chętnie z duszą rozmawia. Zapewnił mię o tem w Piśmie św.: „Zawiodę ją na puszczę i tam będę mówił do serca jej". Więc to jest celem samotności u dusz szukających prawdy. Ta puszcza a na puszczy Bóg, ma cię nauczyć tego, o czem świat pojęcia nie ma i ci ludzie, którzy pędzą życie w rozprószeniu. Z tak pojmowanej i praktykowanej samotności wychodzić będę całkiem nie podobna do siebie. Odbiją się na mnie rysy Boże, cnoty P. Jezusa, bo „z jakim przestajesz, takim się stajesz." Zwolna wydelikatnieje moja chropowata i twarda natura, opadną z niej łuski przeróżnych wad i odzieję się świeżością, wdziękiem nadprzyrodzonością. To właśnie uczyniła samotność, a w samotności modlitwa z moim św. Ojcem. Mówią mi o Nim dzieje, że odzyskał pierwotną niewinność. O jakież to piękne i porywające! Pójdę ja na puszczę, tam milczeć i modlić się będę, a wychodząc z niej zawołam:

IV.

„Na rozmyślaniu rozpalił się we mnie ogień".

A gdy ogień w duszy się rozpali, to nie da jej już spocząć, ale popycha ją gwałtownie do czynów, do ofiar.

Rodzi się duch **pokuty.** Pokutą nie można nazywać tylko posty, dyscypliny i inne nadzwyczajne umartwienia. Pokuta ma wiele stopni, a te właśnie cielesne umartwienia są jej najniższym stopniem. Św. O. Franciszek odebrał Braciom narzędzia pokutne i przez to nas nauczył, że tak jest w rzeczywistości.

Więc o jaką pokutę tu chodzi?

By się nie omylić, popatrzę znowu na postać mojego Ojca. I On wychodząc z samotności, z rozmyślania wołał: „Rozpalił się we mnie ogień.“ A ten ogień nietylko unosił Go w powietrze, ponad wierzchołki wysokich drzew, ale gnał Go także do szpitali i kazał mu obmywać i całować rany trędowatych. Kazał mu przebiegać miasta i wioski i nawoływać lud, by powrócił do Boga, do zasad św. Ewangelji. Ten ogień gnał go aż za morze po palmę męczeństwa, choć ta go ominęła z woli Bożej. Ale to jeszcze nie wszystko. Gdy komu jest bardzo gorąco, zrzuca z siebie płaszcz i co tylko może. Otóż ten ogień Boski, który rozpalił się w sercu św. Ojca, zmusił go do porzucenia bogactw, wygód i wszelkich rozkoszy tego świata i kazał mu pozostać w jednej jedynej sukni, to jest w najskrajniejszem ubóstwie. Na samotności zaraz w początkach swojego nawrócenia się, usłyszał św. O. Franciszek te słowa: „Kto chce iść za mną, niechaj sam siebie zaprze, weźmie krzyż swój na każdy dzień i naśladuje mię.“ Te właśnie słowa brzmieć nie przestały w uszach św. Ojca przez całe życie i pobudzały go do ciągłego sprzeciwu samemu sobie. Na tem zapieraniu się polegała pokuta, u św. Ojca Franciszka i na tem samem polegać powinna u mnie. Zawsze i wszędzie iść przeciw naturze! Oto hasło, jakie wynosi dusza z częstego przebywania na puszczy duchowej, na rozmowie z Bogiem.

Miłośniku, Boskiej chwały,
Coś się w ogień zmienił cały.

Coś go niecił w ludzkiem łonie,
Niech ma dusza też zapłonie,
Z daru Boga z Jego łaski,
Który sieje skier tych blaski!
Ojcze święty! ja Twe dziecię,
Daj miłością żyć na świecie!

G.

Przebudzenie.

Jeszcze chwileczka, dusza się zbudzi,
Ze snu błogiego i zachwycenia,
By iść w wir pracy i między ludzi,
By znów powitać trud i cierpienia.

Choć senna jeszcze w Bogu spoczywa,
I marzą jej się sny dziwnie cudne.
Czuję, jak również żal się odzywa,
Bo iść już musi w to życie brudne.

Z lękiem i trwogą tuli swą głowę,
Do Oblubieńca, który ją pieści.
Błaga o siłę na życie nowe,
O obojętność na ziemskie wieści.

Takie rozkosze z Nim przeżywała,
Bo w swych tajemnic wiódł ją podwoje...
I tyle cudów tam oglądała...
A dziś znów przed nią praca, ból, znoje!

I żal ogromny serce jej ściska.
Więc pyta z trwogą — i cóż się stanie,
Z światełkiem, które tak jasno błyska,
Czy nie zagaśnie rychło, o Panie?

A ta wiązanka z uczuć spleciona,
Nie uschnie marnie tam pośród ludzi!?
Czy dusza moja dziś rozogniona,
Nie skrzepnie w chłodzie? Czy się nie zbrudzi?

Pyta tak z lękiem i więcej jeszcze,
W Boskie ramiona tuli się cała.
Zda się, że słyszy słowa złowieszcze
Wnet się z twem szczęściem będziesz żegnała!

Pokus i walki wicher powieje,
Pogasi światła na twojem niebie.
Ogień i siła gdzieś się podzieje,
A chłód dawniejszy ogarnie ciebie!

I te okropne złowieszcze słowa,
Budzą ją senną z zachwytnej głuszy.
Na sercu Mistrza zwisła jej głowa,
Tuli się trwożna do Jego duszy!

A Jezus tkliwie rękę podnosi,
I krzyżyk kreśli ponad jej czołem.
Zdrojem Swej łaski jeszcze ją rosi,
I obiecuje walczyć z nią społem.

Idź, miła moja, na bój zacięty!
Bo odpoczynek dopiero w niebie!
Na sił wzmocnienie dałem czas święty,
Teraz w świat trudów wyprawiam Ciebie!

A na tę drogę ci błogosławię,
I towarzyszyć chcę w twojej doli.
Żyj tylko ze Mną, nie w cudów zjawie,
Lecz w uległości dla Bożej Woli!

Wróg twego serca niechaj nie trwoży,
Lecz ty postrachem stań się dla niego.
Przez świętość życia, przez zapał Boży,
Przez umorzenie ciała swojego.

Bądź bohaterką, śmiało staw czoło,
Wszelkim ponętom ciała i świata.
I złym zasadom krążącym w koło...
A taką wytrwaj, przez wszystkie lata!!

S.

Podziękowania i Prośby

Redakcja stosuje się we wszystkiem do dekretu Pap. Urbana VIII

Czcig. O. Rafałowi Chylińskiemu dziękują:

Kraków.

S. A. L. z Krakowa dziękuje najpokorniej za pewną łaskę, którą otrzymała niespodziewanie prędko, zanim jeszcze ukończyła nowennę w tej intencji do Czcig. O. Rafała rozpoczętą. Ofiara na beatyfik. 10 zł.

Koło.

W ostatnią niedzielę października wracając z kościoła, wpadłam lewą nogą aż po biodra w otwór, któregom nie zauważyła. Na krzyk mój, bo sama nogi wydobyć nie mogłam, przybyli ludzie i wyciągnęli mnie. Nogi dzięki Bogu nie złamałam, ale była bardzo zgnieciona, spuchnięta i sina. Nie mając na doktora, ratowałam się okładami i modlitwą. Lękałam się bardzo, by nie nastąpiła gangrena. Zaczęłam nowenny do Najśw. Serca P. Jezusa, do Matki Bożej, do Świętych; błagałam również o uleczenie nogi Czcig. O. Rafała. Jakoż po odprawieniu kilku nowenn wstałam po pięciu tygodniach, siność zginęła i noga sklęsła lecz jeszcze kolano boli. Więc dalej jeszcze błagam Boga przez przyczynę Świętych i Czcig. Ojca Rafała o zupełne wyleczenie. *Wanda Stokfiszowa S. III. Z.*

Dopiewiec.

Wywiązując się z danej obietnicy składam podziękowanie Najśw. Sercu P. Jezusa, Św. Antoniemu św. Teresie Czcig. O, Rafałowi, O. Wenantemu za wysłuchanie mej prośby w sprawie renty. Nadal polecam się opiece prosząc o zdrowie. Ofiara 5 zł.

Elżbieta Szczepaniak S. III. Z.

Czcig. O. Rafała Chylińskiego proszą:

Marjanna Stanowa ze Staniewa o uleczenie ze strasznej choroby nerwowej. Ofiara na beatyfikację 5 zł.

Marjanna Maraszkowa ze Staniewa o pomoc w ciężkich warunkach życiowych dla siebie i dla dzieci o przemienienie Pańskie. Ofiara na beatyfikację 5 zł.

Czy tercjarka może ukryć się przed światem? Czy może być pustelnicą?

Odpowie nam na te pytania wyjątek z życia św. Róży Witerbskiej. Powołanie św. Róży było apostolskie, a jednak popatrzmy, jak jej życie było przy tem na wskróś pustelnicze. Dla dusz bowiem heroicznych, które Opatrzność do wielkich spraw przeznacza, samotność zazwyczaj jest poprzedniczką czynu i działania. To też i naszą świętą Bóg zaprowadził na pustynię. Tutaj ją kształcił i urabiał wewnętrznie, tu do jej serca przemawiał, tu wyraźnie objawił jej powołanie i umocnił ją do walki, uzbroił do zwycięstw. Oddawna odczuwała ona nieprzeparty pociąg do samotności i unikając wszelkiego zetknięcia się z ludźmi, długie godziny przepędzała na modlitwie. Za młodą będąc jeszcze na to, aby mogła być przyjętą do klasztoru, liczyła bowiem wtedy lat osiem. Postanowiła zamknąć się w domu rodzicielskim i żyć jak pustelnica. Przy końcu 1243 r. według wszelkiego prawdopodobieństwa, okoliczności zdawały się sprzyjać temu postanowieniu. Miasto Witerbo albowiem, zrzuciwszy z siebie jarzmo niemieckich despotów, doznawało pod panowaniem Papieża słodkiego pokoju, który wprawdzie nie miał trwać długo. Święta wybrała sobie w domu rodzicielskim najnędzniejszy kącik, w którym urządziła sobie samotną celkę. Świadkowie procesu kanonicznego opisują ją dokładnie. Ta celka według ich zeznania, była bardzo ciasna, podobna do więzienia, miała na dzisiejszą miarę 4.40 metr. długości, na 1.98 szerokości. Było w niej maleńkie okienko, którem dziecko z trudnościąby przeszło. Żadnych w niej nie było sprzętów, tylko ubogie łóżeczko i ołtarzyk. Zamknąwszy się w tem dobrowolnem więzieniu, Róża oddała się porywom miłości dla Jezusa.

Wyrwana z woli Bożej na czas jakiś z tej samotni, dostawszy się potem do domu rodzicielskiego, Róża

zamknęła się znowu w dawnej swej celce i chciała powrócić do samotnego i umartwionego życia sam na sam z Bogiem. Ale nie dano jej żyć w ukryciu. Dzień i noc drzwi jej celki były oblężone przez mnóstwo osób pragnących od niej rady lub polecających się jej modlitwom. Nie mało też z dalekich stron się zbiegało i odprawiało pielgrzymki pobożne do Świętej. Wtedy Róża postanowiła poszukać sobie głębszego ukrycia i zamknąć się w klauzurze dla tłumów niedostępnej. Lecz nad wszelkie spodziewanie nie została przyjętą. Nie śmiemy zuchwale zgłębiać, dłaczego się tak stało, mimowoli jednak nasuwa się myśl, iż chciał Bóg może, aby Róża do konca życia była uosobieniem Tercjarstwa, jakby streszczeniem i wzorem tej milicji opatrznościowej, przeznaczonej głównie do pozyskania i uświęcenia ludzi na świecie żyjących. Miała byé ona w wyrokach Bożych jedną z tych dusz powołanych do składania Bogu ofiary nie tylko z uciech i przyjemności światowych, ale nawet z pragnienia cichych rozkoszy życia zakonnego; dusz zostających z woli Bożej wśród ludzi w warunkach życia pospolitego i zamieniających każdą izdebkę, w której mieszkają na celę klasztorną, każdy dom na Tebajdę; rozsiewających i rozwijających z niewyczerpaną żyznością i nieporównaną świetnością przecudne kwiaty czystości, umartwienia, heroicznych czynów, nietylko w zaciszu murów klasztornych ale wśród życia rodzinnego w życiu publicznem, na pospolitej drodze życia zwyczajnego.

Poddana we wszystkiem najświętszej woli Bożej, Róża wróciła do domu rodzicielskiego i prowadziła jak dawniej w celce swojej życie pustelnicze. *G.*

2 Wspomnienia tercjarki.

Kolędowaliśmy tak wieczorami aż do święta Oczyszczenia N. M. Panny. W dzień ten z żalem żegnałyśmy kantyczki i pocieszałyśmy się nadzieją, że już teraz niedługo będzie Wielkanoc. Wogóle my dzieci liczyłyśmy czas od święta do święta, a kiedy nadeszło, przeżywałyśmy je całą duszą. — Umiałyśmy po swojemu »sentire cum Ecclesia«, czuć z Kościołem, choć nas tego nikt nie uczył. Ale bo też rodzice nasi z ogromną czcią i miłością odnosili się zawsze do Kościoła świętego i Ojca świętego. Przykazania kościelne, rozporządzenia Papieży, były tak jak przykazania Boskie, czemś absolutnem, nienaruszalnem; jeśli tak Ojciec święty nakazuje lub pozwala, to sprawa skończona, inaczej być nie może.

Pierwsze: postanowione od Kościoła Bożego dni święte święcić! Co za rozkoszne przykazanie! Co za boleść byłaby dla nas, gdyby ono nie istniało. A więc cały rok szary, pusty, dzień do dnia podobny, nudny, ciężki. — A my przecież na każdą niedzielę już od poniedziałku wyczekiwałyśmy. Byłyśmy święcie przekonane, że to jest dzień już z istoty swej różny, że nawet w świecie i naturze inaczej tego dnia się dzieje niż zwykle. — Na niedzielę wszystko się w domu czyściło, myło, szorowało, począwszy od podłogi i stołków, a skończywszy na nas samych. Świąteczne sukienki, świeże fartuszki, jasne wstążki we włosach, mówiły nam, że to dzień uroczysty, dzień Pański. Tatuś był w domu i z nim zawsze szłyśmy na Mszę św. o godzinie dziewiątej. Mama zwykle chodziła na prymarję, gdyż potem musiała się zająć przygotowaniem obiadu. Bracia wybiegali sami trochę przed dziewiątą, gdyż służyli do Mszy św., więc samo panieńskie grono, w beżowych szubkach i kapturkach z różowemi wyłogami, kroczyło poważnie przed tatusiem, cisnąc w jednej ręce książeczki do nabożeństwa, a w drugiej otrzymane od mamy grosiki »dla księdza na tacę«. W kościele stawałyśmy obok tatusia, który surowo przestrzegał poważnego zachowania się i żaden uśmieszek, żadne słówko szepnięte nie uszło nam na sucho.

Kazania słuchałyśmy bardzo pilnie, gdyż po powrocie do domu tatuś pytał o czem ksiądz mówił. Byłam jeszcze zbyt małą i nie podlegałam temu egzaminowi, ale niemniej pilnie przysłuchiwałam się egzorcie, starając się ją zrozumieć — niestety nadaremnie. Raz przecież wśród wzniosłej przemowy wpadło mi w uszy zdanie, całkiem zrozumiałe i nawet nie trudne do wykonania. — Kaznodzieja mówił zapewne o cierpieniu i kilka razy powtarzał: »Przyciśnij krzyż do twego serca«. — No, przynajmniej raz wiem czego ksiądz naucza w kościele. Uszczęśliwiona z tego odkrycia, wzięłam sobie bardzo do serca naukę i postanowiłam ją zaraz wprowadzić w życie. Jakoż wróciwszy do domu, upatrzyłam stosowną chwilę, kiedy nikogo nie było w sypialni, wdrapałam się po krześle do galeryjki i zdjąwszy krucyfiks, poczęłam go z całych sił przyciskać do piersi oczekując zbawiennych skutków. Nie pamiętam, czy je osiągnęłam, w każdym razie czułam się bardzo podniesiona na duchu tem pierwszem »zrozumianem« kazaniem.

Po Mszy św. wracaliśmy wszyscy wesoło do domu. — Czasem tatuś zabierał całą swoją gromadkę do kiosku, na landrynki, a w lecie na sodową wodę i andruty. Jeżeli była zbyt wielka, jak na malców, niepogoda, albo które było trochę chore i nie mogło pójść na Mszę św., mama kazała się w domu pomodlić z książeczki. Oddawszy co jest Boskiego, Bogu — z lekkiem sercem obmyślałyśmy sobie zabawę na popołudniu. — Ojciec nie lubił i prawie nigdy nie pozwalał, abyśmy szli bawić się gdzieindziej, niż w domu. Chciał mieć nas zawsze pod opieką rodziców, — złych wpływów, złych towarzystw, bał się dla nas gorzej niż zarazy. Pomimo swych bardzo szczupłych zarobków płacił korepetytora dla braci, a nie posłał ich do szkoły publicznej, by się tam nie popsuli. Dom miał nam wystarczyć — i wystarczał w zupełności, ale, bo też rodzice byli zajęci tylko nami i nam oddani. Ojciec sam wieczorami majstrował nam zabawki — braciom utoczył na ręcznej tokarence kręgle, krokiet, strugał pajace, kupił im rower i psa, nam wyrabiał najrozmaitsze meble dla lalek, a co najmilsze, że sam się z nami bawił

i płatał nam figle takie, że zanosiłyśmy się od śmiechu. Na chrzcinach lalek chętnie bywał księdzem proboszczem i kredą na drzwiach wpisywał nowoochrzczone do ksiąg ludności, potem przemieniał się w grajka i kręcił nam gramofon do tańca, a gdy która tancerka nie miała pary, chętnie jej służył. Dotąd widzę, jak moja najmłodsza siostrzyczka uczepiona u rękawa tatusia wykręca oberka w lewo i w prawo, że tylko migają cieniutkie nóżki i jasne warkoczyki, a tatuś śmieje się i śpiewa:

Tańcowały dwa Michały
Jeden duży, drugi mały
Jak ten mały zaczął krążyć
To ten duży nie mógł zdążyć.

Takie huczne zabawy odbywały się co niedzielę, aż do Wielkiego Postu. We wtorek zapustny ojciec odejmował tubę od gramofonu i »muzyckie narzędzie« wędrowało na szafę, aby tam wypoczywać przez całe dni czterdzieści. Wieczorem szłyśmy z mamą i ciocią na uroczyste nieszpory, jakie się w niektórych kościołach w zapusty odprawiają. — Gdy na zakończenie w półmrocznym już kościele popłynęła poraz pierwszy pieśń: »Wisi na krzyżu, Pan Stwórca nieba« duszę naszą ogarniała jakaś rzewność i smętek. Wracałyśmy do domu cichsze i poważniejsze niż zazwyczaj, współczując z Panem Jezusem, który według naszych dziecinnych pojęć, corocznie nanowo, gdzieś tam daleko w Jerozolimie był męczony i krzyżowany. Wielki Post zachowywano u nas w całej rozciągłości, nie wyłączając niedziel. Jedynie dla tatusia jako ciężko pracującego mama prosiła księdza proboszcza o dyspenzę. Zresztą dla nas dzieci post nie przedstawiał żadnego umartwienia i nawet byłybyśmy szczerze zmartwione, gdyby nas od niego zwolniono. Któżby żałował mięsa, które się je cały rok, wobec rozmaitych grzybów, blinów, śledzi, ziemniaków w mundurach i tym podobnych osobliwości. Zamiast chleba ze skwarkami zajadałyśmy słodkie powidła, malując sobie niemi oba policzki, a czasem nawet i koniec noska.

Zabawy bywały cichsze i spokojniejsze. Najczęściej skulone za firankami we framudze okiennej, gdzie było mieszkanie lalek,

gospodarowałyśmy bez hałasu. Mama pochylona nad szyciem nuciła starodawną pieśń o Matce Bożej Bolesnej.

Już Cię żegnam, Najmilejszy Synu Chrystusie,
Serca mego pociecho, śliczny Jezusie,
Cóż ja pocznę, ach strapiona
Matka Twoja opuszczona, straciwszy Ciebie.

Deszcz marcowy ciął w okna i spływał po szybach jak strumienie łez, wiatr żałośnie zawodził, a serduszka dziecięce ściskały się z żalu nad »biedną Matką Boską«. Co piątek szliśmy wszyscy popołudniu do kościoła na t. zw. »Stopnie Męki Pańskiej«. Było to nabożeństwo czysto franciszkańskie, które zaprowadzili Ojcowie jeszcze przed ich wypędzeniem przez Moskali. Podobne było do Gorzkich żalów, ale duch Seraficki nadawał mu swoje specjalne piękno — miłość dla Ukrzyżowanego Pana łączyła się z uwielbieniem Najświętszej Eucharystji i wybuchała żarliwemi iście seraficznemi wołaniami, jak np. w hymnie początkowym:

Witaj Jezusa Przenajświętsze Ciało,
Któreś zmęczone, śmiertelnem się stało,
O Żyjący chlebie,
Umieram bez Ciebie!

Nabożeństwo trwało długo, ale nam nie nudziło się wcale. Śpiewałyśmy z mamą z jednej książeczki, patrzyłyśmy na bielusieńką Hostję w otoczu słocistej monstrancji, na wielki ciemny obraz Pana Jezusa Ukrzyżowanego, to znów na brata, który w białej komeżce i czerwonej pelerynce wymachiwał trybularzem, albo energicznie potrząsał dzwonkiem. Wreszcie ksiądz intonował ostatni hymn:

Zbliżam się k'Tobie, Jezu mój kochany
Całować święte i dotkliwe Rany.

Ludzie powoli wychodzili z kościoła. Mama brała nas za rękę i szłyśmy do dużego krucyfiksu, który leżał na środku kościoła, na rozciągniętym dywanie. Tutaj klękałyśmy i z jakiemś trwożnem uczuciem czci i miłości całowałyśmy nóżki Zbawiciela. — Gorszyło nas trochę, gdy widziałyśmy, że ludzie całują także ręce i bok Ukrzyżowanego. W naszem dziecinnem pojęciu było to wysoce niestosownem poufaleniem się z P. Bogiem. *C. d. n.*

L.

KRONIKA

Przez kraj Franciszka Serafickiego

(Wspomnienia z pielgrzymki do Padwy).

IV. Przechadzka po Assyżu.

Assyż jest niewielkiem miastem i nigdy nie był wielkim. Całe to jego szczęście, bo inaczej nie miałby był św. Franciszka. Wielcy bowiem ludzie wychodzą z małych miasteczek lub ze wsi. Niech mi kto powie, jaki naprawdę wielki człowiek przyszedł na świat n. p. w Paryżu, w Londynie, a już nie mówię o Nowym Jorku. W wielkiem mieście są oczywiście ludzie wyżsi i niżsi, ale pod względem duchowym wszyscy są mniej więcej równi, to jest przeciętni. Wielkie miasto podciąga wszystko i wszystkich pod jeden strychulec. Wielkie miasto ma trzy „wielkie ambicje": zrobić wielkie pieniądze, zdobyć wielką popularność (nie sławę) i użyć „wielkiego" życia. Dlatego wielkie miasto wydaje wielkich bandytów, znakomitych linoskoczków i sprytnych sutenerów. W powszechnej gonitwie za mamoną i błyszczeniem, wśród ustawicznego zgiełku i wśród zamtuzów, które noszą zwykle niewinne a wspaniałe nazwy, maleje duch, milkną głosy wyższe i zamierają dążenia podniebne. Dlatego wielkie miasta nie wydają wielkich ludzi.

Tak. Assyż nie jest wielkiem miastem. W dwie godziny, idąc powolnym, spacerowym krokiem, można je okrążyć dokoła. Z daleka, z prześlicznej doliny Spoletańskiej wygląda jak wielkie białe gniazdo, sklecone na wzgórzu. Bo Assyż leży na wzniesieniu, na ostatnim północnym wyskoku potężnej góry Subasio, która osłania go z jednej strony jakby ogromnym wachlarzem. Panują nad miastem, widoczne ze wszystkich stron, czarno-szare ruiny starego zamczyska. Dziś niema tam nic prócz zniszczonych murów, na poły zapadłych lochów i rozwalonych baszt. Ale kiedyś miał zamek swoją bogatą historję. Zbudowany jeszcze za czasów najazdów germańskich barbarzyńców, był siedzibą książąt spoletańskich. Książęta ci uciskali mieszczan podatkami i dopuszczali się okrucieństw. W r. 1198 Assyżanie zbuntowali się, zamek zdobyli i zburzyli go tak gruntownie, że się już nigdy z ruin całkowicie nie podźwignął. Potem, aby obronić miasto od nowych tyranów, opasali je w pośpiechu potężnym murem.

Kiedy się to działo, Franciszek miał lat szesnaście i z pewnością brał udział w napadzie na zamek i w pracach około wzniesienia murów obronnych. Wtedy zapewne wyuczył się murarki, która później tak mu się przydała w odbudowaniu kościółka św. Damjana.

Mury obronne stoją dziś jeszcze w wielu miejscach prawie zupełnie nienaruszone. Jak za czasów Franciszka wchodzi się do wnętrza miasta przez bramy stare i poważne, których dziś jest siedm o różnych nazwach. Wejdźmy jedną z nich, tą, która spogląda na dół ku dworcowi kolejowemu. Brama malowanie. Umiar. Prostota. Niema co mówić. Włosi mają niezłe wina, jeszcze lepsze głosy, ale najlepszy zmysł architektoniczny na świecie.



Plac Wiktora Emanuela.

Białe kamienie, z których zbudowaną jest brama i wszystkie poważniejsze gmachy, wpadają w lekki ton różowy, który nadaje całemu miastu charakterystyczne zabarwienie. Pochodzą z kamieniołomów góry Subasio.

Jesteśmy na placu Wiktora Emanuela. Główny to plac miasta i prawdziwie piękny. Istniał jeszcze za czasów rzymskich. Bo Assyż już wtedy był miastem i to nie najpodlejszem. Ba, jeszcze przed Rzymianami był tu gród tajemniczych Etrusków, po których do dziś dnia raz po raz znajduje się pamiątki i ślady. Ho, ho, Assyż nie jest młodszym od Rzymu samego.

Cóż to za śliczne kolumny? Sześć ich jest, a smukłe i piękne jak ich siostrzyce na Akropolu ateńskim. Kwiat akantu zdobi ich

szczyty, dźwigające wspaniały, klasyczny architraw. Ale stare muszą być bardzo, bo biały ich marmur poszarzał mocno, a rzeźbione rowki nadgryzł już tu i ówdzie ząb czasu. Istotnie. Wybudowali je jeszcze Rzymianie, prawdopodobnie za czasów Augusta, jako portyk dla świątyni Minerwy. Przetrwały jednak zwycięsko najazdy, pożary, wyludnienie i stoją po dziś dzień. Ale stoi jeszcze i ta świątynia, zamieniona na kościół chrześcijański i odpowiednio przerobiona.

Na lewo wznosi się wieża ratuszowa, a na przeciwko gmach ratusza z XIII wieku, lecz mocno przebudowany. Na środku placu tryska woda z pięknej fontanny. Nie było jej jeszcze za czasów Franciszka.

Znał dobrze ten plac Franciszek, syn Piki Prowansalki i Bernardona, bogatego i wpływowego kupca bławatów w Assyżu. Jako świetnie wystrojony młodzieniec, z gitarą w ręku, ze śpiewem i uśmiechem na ustach, w otoczeniu co lepszej młodzieży miasta, której był jakby królem kochanym i uwielbianym, tu się zatrzymywał często. Wszyscy go znali w mieście. Szepty zachwytu lub zazdrości odzywały się na jego widok.

Ale pewnego razu zmienił się obrazek. Przez ten sam plac szedł ten sam Franciszek, a już nie ten sam. Jakieś łachmany na ciele, twarz zaniedbana i poważna, zamiast świetnego orszaku wesołej młodzieży otacza go gromada łobuzów wskazujących nań palcami. „Co mu się stało?“ — pytał jeden drugiego. „Nic innego, tylko zwarjował“. I gawiedź wołała coraz głośniej: warjat, warjat: Ale Franciszek się nie wzruszał. Toć on sam, na pytanie bandyty, który go napadł na pustkowiu: „Ktoś ty jest?” — odpowiedział! „Gioccatore di Dio, jestem kuglarzem Bożym”. Świat wokoło niego odwrócił się do góry nogami albo on sam widział go tak, jakby stał na głowie. Wielkie wydawało mu się małem, małe wielkiem. Pożądane napełniało go wstrętem, a to, co wstręt budzi u wszystkich, było mu rozkoszą. Taki przewrót zaszedł w jego duszy od niedawna. I teraz w łachmanach czuł się tak jak przedtem w atłasie, wyzwiska były mu tem, czem dawniej słowa podziwu.

Innym razem Franciszek szedł z przyjacielem do kościoła św. Mikołaja, który stał w głębi placu w miejscu, gdzie dziś jest komenda żandarmerji. Przyjacielem był bogaty kupiec assyski, Bernard da Quintavalle, który przy tym samym placu miał dom okazały. Wstąpili do kościoła, aby się poradzić Ewangelji, czytanej przez kapłana. A gdy usłyszeli słowa: „Nie miejcie ani laski, ani dwóch sukien, ani złota, ani srebra w trzosach waszych...” — Bernard nie powrócił już do swego pałacu, ale za Franciszkiem podążył do Rivo Torto, gdzie już się zebrała była gromadka „kuglarzy Bożych“.

A kiedy zaszedł już daleko na drogach Bożych, zdarzyło się, że, słabym będąc, spożył smaczniejszy kąsek. Natychmiast uczuł wyrzuty sumienia i rzekł, jakby sam do siebie: „Ludzie myślą, że Franciszek się umartwia, a on zajada przysmaki. Musisz się za to ukarać tak, aby wszyscy wiedzieli, że nie jesteś umartwionym człowiekiem". Wstał, założył sobie na szyję zwykły powróz i tak wyszedł, a jeden z braci na jego rozkaz pociągał go za sznur, wołając: „Patrzcie, ludzie, tu idzie wielki żarłok". I tak przeszli przez ten właśnie plac, który się nazywa dzisiaj Placem Wiktora Emanuela II, a powinien się nazywać Placem Franciszka.

Skręćmy w tę uliczkę od wschodniej strony placu. Na murze jakiegoś domu czytamy: Vicolo San Antonio — zaułek św. Antoniego. Tu się urodził Franciszek i tu w domu rodzinnym przepędził dwadzieścia kilka lat swego życia aż do czasu, w którym wyrzekł się domu, prawa do dziedziczenia, pieniędzy, sukien i ojca samego, co go wstrzymywał na drodze powołania. Z domu jego rodzinnego pozostał łuk, który zasklepiał bramę wchodową. Resztę przebudowano w XVII wieku na małą świątynię w formie krzyża greckiego z pięciu kopułami na szczycie na pamiątkę pięciu stygmatów. Kościółek istnieje po dziś dzień pod mianem: Chiesa Nuova — Nowy Kościół. Puśćmy wodze fantazji. Tu od ulicy były składy sukna, w których ojciec Franciszka zbijał skrzętnie majątek, bo bogactwo było jego największą i — być może — jedyną miłością. W tyle znajdowały się pokoje mieszkalne. Jeden z nich zajmował Franciszek. Widzimy go, jak wraca z pobliskiej szkoły św. Jerzego z książkami pod pachą i jak z uśmiechem i pieszczotą przyjmuje go słodka Pika. Matka w przeciwieństwie do ojca, grubego materjalisty, przeczuwała wielką przyszłość swego syna i słabość czuła do niego niemałą. Patrzała przez palce, jak Franciszek przyjmował w domu liczne zastępy ubogich, a nawet gdy wynosił dla nich spore kawały sukna ze sklepu ojca, udawała, że tego nie widzi. Ale inaczej o tem myślał ojciec. Właśnie pokazują nam ciasną, niską, ciemną kazamatę, w której srogi ojciec zamknął swego syna, wyjeżdżając z domu na czas dłuższy, aby go podczas swej nieobecności ubezwładnić i do rozrzutności nie dopuścić. Franciszek jednak uszedł z więzienia, naturalnie nie bez pomocy matki, i już do domu chciwego rodziciela nie powrócił.

Czy prawdziwą jest legenda, że Franciszek nie przyszedł na świat w domu, któryśmy opisali, ale w stajence opodal położonej? Gdy jego matka wydać na świat niemowlęcia nie mogła, nieznany człowiek miał jej poradzić, aby się przeniosła do pobliskiego schronienia dla zwierząt domowych, gdzie też nastąpiło szczęśliwe roz-

wiązanie. Pokazują tę stajenkę dziś jeszcze przy tej samej ulicy miasta. Na starych jej, podniszczonych i szczerniałych murach można wyczytać napis: „Ad imitationem D. N. J. Chi, natus est seraphicus Franciscus — Na podobieństwo Pana Naszego Jezusa Chrystusa urodził się serafícki Franciszek". Stajenka-kaplica nosi nazwę: San Francescuccio — Święty Franciszeczek. Lecz trudno dojść, ile w legendzie prawdy. Stajenkę zamieniono na kaplicę dopiero w XVII wieku a legendę uwiecznił pędzlem po raz pierwszy Benozzo Gozzoli na ścianach kościoła w Montefalco.

Wieczór się zbliża. Czas wracać do Windsoru. Umyślnie kołuję. Przypatrzcie się tym uliczkom. Ciasne. Kręte. Strome. Czasem zaopatrzone w kamienne schody. Charakterystyczne domki z kamienia grubo ciosanego. Bramy sklepione zwykle ostrym łukiem. Tu i ówdzie pięknie rzeźbione gzymsy. Zaułki assyskie są pełne oryginalnego wyrazu. Nie wiele tu się zmieniło od czazów franciszkowych. Uważajmy. Może to było na tej, a może na tamtej uliczce, Ale napewno tu gdzieś w pobliżu. Jest noc wyiskrzona gwiazdami. Franciszek obrany królem zabawy, strojny i piękny w płaszczu ze szkarłatu i z koroną królewską na głowie, wymknął się rozbawionym towarzyszom i błądził długo po ciasnych uliczkach, pogrążony w zadumie. Wreszcie usiadł na kamieniu przed domem w pustym zaułku. Tu go znaleźli zaniepokojeni przyjaciele. Korona królewska leżała opodal na ziemi, a Franciszek z głową zwróconą ku gwiazdom zamyślał się aż do nieprzytomności. Jeden z przyjaciół potrząsnął nim mocno: „Dlaczegoś nas opuścił? o czem tak myślisz? chcesz może pojąć żonę? — A Franciszek ocknął się z zadumy i odpowiedział: „Masz słuszność, myślę poślubić najszlachetniejszą, najbogatszą i najpiękniejszą dzieweczkę, jaką możecie sobie wyobrazić". Wkrótce potem dotrzymał słowa: poślubił... opuszczone, wzgardzone Ubóstwo. Przyjaciele byli zgorszeni, ojciec doprowadzony do białej pasji, a miasto miało sensację nielada. Ogół wydał zgodny wyrok: warjat! Ale w kilka lat później ci sami ludzie uważali sobie za szczęście, gdy mogli dotknąć rąbka jego szaty ubożuchnej. Z wyjątkiem ojca. Ten zbieracz pieniędzy nie mógł pojąć jak można gardzić złotem.

O. Rajner Gościński.

Wilno.

Kon. III-go Zak. przy kaplicy OO. Franciszkanów. Wybory Zarządu.

Dnia 29 listopada 1931 roku w kongregacji naszej odbyły się wybory nowego zarządu pod przewodnictwem O. Dyrektora. Wybory rozpoczęto modlitwą: Veni Creator, następnie O. Dyrektor

w krótkiem przemówieniu złożył podziękowanie za pracę ustępującemu zarządowi.

Następnie przystąpiono do tajnego i imiennego głosowania. O. Dyrektor na każdy urząd podawał dwu kandydatów i zaznaczał, iż można głosować i na innych, na kogo kto chce i uważa za godnego.



Nowy Zarząd Kongregacji.

Nowy zarząd przedstawia się następująco: Przełożony br. Franciszek Just. Dorofiej, który poprzednio zajmował ten urząd przez lat 7, — zastępca przełożonego: b. Franciszek Józ. Masewicz, — sekretarz: br. Piotr Stef. Antoniak, mistrz nowicjatu: br. Antoni Hen. Bocewicz, który pełni ten obowiązek od roku 1921, — skarbnik: br. Piotr Józ. Zakrzewski, — infirmarz: br. Antoni Franc. Butkiewicz, — dyskret I: br. Paweł Kaz. Cydzik, — dyskret II: br. Jan Winc. Rynkiewicz, — chórzysta: br. Ludwik Winc. Misztowt, — zakrystjan: br. Ludwik Ant. Olczykowski.

Po wyborach O. Dyrektor przypomniał obowiązki każdego z zarządu i złożył życzenia, aby nowy zarząd pracował dla Boga,

Marji Niepokalanej Królowej Zakonu Serafickiego i św. O. Franciszka.

Br. Przełożony podziękował Braciom za zaufanie jakiem go, darzą na tak odpowiedzialnem stanowisku i że czynem będzie się starał być godnym tego zaufania.

Wybory zakończono modlitwą. Kongregacja składa serdeczne Bóg zapłać O. Dyrektorowi za pracę włożoną dla tutejszej kongregacji i życzy jak najobfitszych łask Bożych; — również nowemu zarządowi życzy Szczęść Boże w pracy.

sekretarz: br. Piotr St. Antoniak.

Kraków.

Gwiazdka — Wigilja — Opłatek.

I. Spiesząc za wezwaniem św. Serafina z Assyżu: „Niech Boże Narodzenie dla wszystkich stworzeń będzie świętem wesołem", siostry: „Sekcji Miłosierdzia III Zak. św. O. Franciszka urządziły ku radości biednych dzieci". „Gwiazdkę świąteczną", dnia 23 grudnia 1931 r. w sali włoskiej na krużgankach bazyliki OO. Franciszkanów.

Uroczystość tą zaszczycili swą obecnością: O. Czesław Szuber, prow. OO. Kapuc. prezez R. Gł., O. Pankiewicz, sekretarz OO. Bernardynów, O. Czesław franc. prezes Rady Dek. sekretarz R. Gł. nadto: O. Eugenjusz i O. Walerjan, oraz licznie zaproszeni goście.

Ten, którego panią i siostrą ukochaną było ubóstwo i w tym roku szczodrze dopomógł Sekcji Miłosierdzia, iż mogła obdzielić podczas „gwiazki" 180 dziatek darami praktycznemi w postaci materjałów na ubrania i ładnych dużych strucli. A wszystko to, dzięki ofiarności dobrych ludzi, którzy pomimo ciężkiego kryzysu materjalnego w obecnej dobie, znaleźli grosz dla biednych. Pragnąc, aby te chwile przeszły dla dzieci mile, aby dla ich dusz powstał jakiś „promyk" z tej gwiazdki, urządzono żywy obraz w czasie, którego dzieci w rolach „gwiazdek" deklamowały okolicznościowe wiersze. Szczególnie okrzyki radości wywołał taniec dziewczynek poubieranych za muchomory. W drugiej odsłonie ujrzały maleństwa „Jasełka", które były najważniejszą częścią przedstawienia.

Bardzo mile uprzyjemniały tę uroczystość artystyczne śpiewy kolend „Chóru cecyljańskiego kleryków OO. Franciszkanów. Święty Franciszek z pewnością pomagał i błogosławił temu kolędowaniu, gdyż to wszystko na Jego większą chwałę. A i dzieciaki, oczami szeroko otwartemi patrząc na te „śliczności" i słuchając melodji śpiewanych drżącej z zimna Dziecinie Bożej, zdawały się odpowiadać „My zaś sami, z piosneczkami za wami pospieszymy".

Na zakończenie uroczystości w pięknej przemowie do dzieci O. Eugenjusz wytłomaczył im cel zaznaczając, że powinny dziękować za te dary przedewszystkiem małemu Jezusowi, który im jest tem bliższy, że też malutki tak jak one i ubożuchny złożył też w imieniu dzieci podziękowanie członkom Sekcji Miłosierdzia za pracę poniesioną przy urządzeniu tej radości malutkim. Następnie przystąpiono do rozdzielania darów „gwiazdkowych", na które dzieci oczekiwały z upragnieniem. Sekcja Miłosierdzia z całego serca dziękuje OO. Franciszkanom za łaskawe udzielenie Sali włoskiej

na tę „ucztę" dla małych. Ojcu Eugenjuszowi za dobre i serdeczne słowa do dzieciaków. A „Chórowi cecyljańskiemu", kleryków franciszkańskich za piękne i miłe śpiewanie.

Podziękowanie skromne, ale Dziecię Jezus szczodrze im za wszystko zapłaci!

II. Dnia 24. 12 1931 r. urządziły połączone Kongregacje III. Zak. Św. O. Franciszka wigilję dla ubogich tercjarzy i tercjarek. Naprawdę rozrzewniający był widok 200 dzieci św. O. Serafickiego, które zgodnie zasiadły przy stołach zasłanych białemi obrusami.

Wielką radość zebranym sprawiło przybycie na tę uroczystość Przewielebnych Ojców: O. Czesława Szubera prowincjała O. O. Kapucynów, Prez. R. gł. O. Czesława Kellara Dyrektora III. Zak. O. Anzelma Kubita gwardjana OO. Franciszkanów i O. Anatola Pytlika, komisarza Ziemi Swiętej, dyrektora III Zak. u O. O. Reformatów.

Chwila ta była żywem odzwierciedleniem tych odległych czasów, gdy „drugi Chrystus" św. Franciszek z Assyżu zasiadał do uczty, wspólnie z biedakami.

Uroczystość zagaił podniosłą przemową Przewielebny O. Czesław Szuber. Objaśnił, że zebranie to jest wielkiem świętem rodzinnem, gdyż łączą tu wszystkich obecnych nierozerwalne związki ducha serafickiego. Biednych tu niema. Są tylko bracia i siostry. Bo i jakże można nazwać biednym tego, który ma za hasło życia: „Bóg mój i wszystko"!

Następnie Przewielebni Ojcowie dzielili się opłatkiem i składali życzenia wszystkim zebranym na sali. Od tych życzeń franciszkańskich, szczerych i serdecznych radość jasna zapanowała w sercach zebranych. I prawdę powiedział Swięty Doktor Seraficki o pani Biedzie: „Odkąd przy żłobie stała w Betlejemie, jest zdobywczynią, co podbija ziemię". Gdyż nigdzie może nie było takiej radości w ten wieczór wigilijny, jak tutaj, wśród tej gromadki wiernych.

Następnie wśród śpiewu kolęd zasiedli zebrani do wieczerzy wigilijnej, przy której usługiwały S. S. III. Zakonu.

Odśpiewaniem naszych kochanych polskich kolęd zakończyła się ta podniosła uroczystość, którą można nazwać prawdziwie: „Ucztą franciszkańską".

Była ona świętym posiłkiem nietylko dla ciała, ale i dla skołatanej duszy.

Rozeszli się biedacy do domów. Została w sali tylko choinka, mrugając dogasającemi światłami świec, gdyż i ona spełniła z radością swą rolę, przyświecając gorliwie podczas tej uroczystości.

III. Dnia 27. XII. 1931. S. S. III. Zak. urządziły „opłatek". Na tę uroczystość przybyli Przewielebni Ojcowie: O. Gwardjan wraz z O. Czesławem naszym O. Dyrektorem III. Zak. Wśród dźwięku kolędy: „W żłobie leży", odsłonięto na scenie żłóbek otoczony aniołami, które z podziwem i czcią pytają Dziecinę Bożą, dlaczego zstąpiła z niebios na tę ziemię pełną płaczu i cierpienia. Następnie przystępują do żłóbka, cztery dobrze nam znane i ukochane postacie: Sw. Franciszek, „Swięty całego świata" Antoni z Padwy, Sw. Klara i Sw. Elżbieta, składając Jezusowi w ofierze: ubóstwo, miłosierdzie, niewinność, miłość, i cierpienia.

Teraz Przewielebny Ojciec Gwardjan w serdecznych słowach złożył życzenia Ojcu Dyrektorowi, który tak ofiarnie pracuje dla dobra III. Zakonu. Następnie Zarządowi III. Zak. aby pracował nadal tak zgodnie i z takim zapałem, jak dotychczas, oraz wszystkim siostrom, by szerzyły: „Pokój na ziemi", który jest sztandarem wieczystym, niezniszczalnym zastępów tercjarskich.

Po przemówieniu Przewielebnego Ojca Gwardjana, przystąpiono wśród śpiewu kolęd do wspólnego dzielenia się opłatkiem i składania życzeń.

A teraz i tym, co mieszkają w dużych miastach i tym co w cichych wioskach, w całej Polsce, Siostry III Zakonu Sw. Franciszka z Krakowa przesyłają pozdrowienie franciszkańskie szczere i serdeczne. Pochodni zaś Serafickiej, która przeżycia nasze tercjarskie ogłasza i tym sposobem przyczynia się do zjednoczenia Tercjarstwa całej Polski życzymy, by nie było takiego zakątka w naszej ukochanej Polsce, dokądby nie dochodziło jej światło jasne i przyjemne. *Siostra Marja Bogumiła Połotyńska.*

Akademja misyjna.

W uroczystość Trzech Króli Sekcja Misyjna kleryków franciszkańskich urządziła w Sali Włoskiej akademję misyjną z następującym programem. 1) Chór kleryków pod batutą O. Prof. Rizziego śpiewał kolendy 2) Br. Wiesław w referacie przedstawił ofiarną miłość misjonarzy dla pozyskania dusz pogańskich Panu Bogu. Nawoływał też by tych wielkich bohaterów wspierać modlitwą i groszem. 3) O radosnych chwilach misjonarza deklamował br. Gabrjel 4) Przeźrocza z życia Indjan objaśniał O. Magister Samuel. Po akademji Uczestnicy serdecznie dziękowali za mile spędzony wieczór. Zebrano na misje franc. 110 zł. *S.*

Z okazji świąt Bożego Narodzenia Siostry III Zakonu przy Bazylice OO. Franciszkanów w Krakowie odegrały trzykrotnie sztuczkę pod tytułem: „Cudowna noc Bożego Narodzenia. Porywająca to była rzecz, gdy wszystkie stworzenia na rozkaz Anioła spieszyły do Betlejem, by oddać cześć nowonarodzonemu Bogu Zbawicielowi. Miały w drodze wiele przeszkód, byli tacy co radzili wracać ale przemogła zdrowa rada tych, co dowodzili, że dla uczczenia Boga żadnych trudów nie można żałować. — Oby ta piękna rada kierowała wszystkimi przez całe życie w szczególności Dziećmi św. O. Franciszka. *S.*

Jak się Hanusia nauczyła naprawiać ubranie.

Dreptała Hanusia po kuchni. Choć nużyła się, ponieważ już było późno, a ona dopiero nastawiała obiad; nie szła jej dziś robota. Myśli jej zaprzątała jakaś ważna sprawa. Zaduma zdradzała wewnętrzną rozterkę.

Co też ten O. Dyrektor chce od nas? mówiła do siebie. Wprawdzie zadowolony był z naszej ofiarności,

ale skończył swe przemówienie słowami: „Pamiętajcie Siostry, że tercjarz musi w szczególniejszy sposób pamiętać o biednych, zwłaszcza dziś w okresie ogólnego kryzysu gospodarczego. Poszukajcie w domu w szafach i po strychach, w kufrach i koszach leżącego bezużytecznie odzienia, ubrań lub bielizny, naprawcie, wyczyśćcie i złóżcie na rzecz potrzebujących. Nie chodzi o wielki dar, lecz o to, by każdy coś dał; choć drobiazg, choć chusteczkę do nosa, choć skarpetki, ale by dał. Przeglądnijcie wasze rzeczy, nie „marynujcie“ ich, a niejedno znajdzie się dla biednych!“

Te słowa O. Dyrektora, tak jasne i proste, wyprowadziły naszą Hanusię z równowagi. Już kogo jak kogo, ale jej nie można było posądzić o skłonność składania czegokolwiek.

Dobra to była dziewczyna, lecz ogromnie roztrzepana, a pod względem niedbania o jakąkolwiek własność wprost niezwykła.

Rozdarła gdzie suknię, mniejsza o to. Oglądnęła, odłożyła na potem, następnie... szast... prast... i pali się suknia w piecu. O tem, by naprawić, zeszyć i jeszcze chodzić, rzadko Hanusia pomyślała, by zacerować, załatać i dać potrzebującemu, to już nawet przez myśl jej nie przeszło.

Nie pochodziło to u Hanusi ze złego serca lub złej woli. Nie! U niej to była beztroska lekkomyślność, brak zastanowienia i jakaś niezdolność duchowa pod tym względem.

Czuła była na cudze braki i nędzę. Widząc potrzebującego dałaby ze siebie odzienie, lecz by starą rzecz zużytkować, naprawić i dać, to przechodziło zakres jej zdolności. O bo Hanusia to dziwna była dziewczyna, a jej natura to jakaś specjalna gmatwanina sprzeczności.

Słowa O. Dyrektora przyjmowała zawsze z szacunkiem i starała się do nich zastosować. I teraz nie dały jej spokoju. „Załatać i zeszyć!“ Tak często mówiła jej to pani. „Hanusiu, zaszyj dziurę w sukience, przymocuj guzik przy płaszczu!“ „Dobrze, proszę pani!“ I na tem koniec. Sukni nie zaszyła, guzik zaginął i tak było stale.

Prosiła pani, gniewała się, nic nie pomagało.

Dziś w głowie dziewczyny powstał zamęt. Więc to już nie panicz, który w lot podchwycił słabe strony charakteru Hanusi i naśmiewał się z niej, nie pani, która, jak każda zresztą pani, lubi zrzędzić, lecz sam O. Dyrektor mówi: „napraw! zeszyj i daj biednemu! Ogromnie to Hanusię zastanowiło.

Zmieszana była i zła nawet w głębi duszy na O. Dyrektora, że słowami swemi dotknął najdrażliwszej jej wady. A wstydziła się swego krytycyzmu, gdyż była przekonana, że O. Dyrektor mówi bezstronnie, że nawet nie wie o jej błędach, więc nie mogła się sama uniewinnić powiedzeniem: pani lubi mi dokuczyć.

„Poszukajcie!" brzmi jej w uszach.

I w tym momencie widzi siebie samą, gdy w chwili jakiegoś podniecenia pocięła czarny, wełniany szal na spodnicę, ale ponieważ jak zwykle spieszyła się niezmiernie i tylko troszeczkę się pomyliła i dwa bryty skroiła w jedną stronę; a nie mając materji na poprawkę, po dłuższej medytacji nad nieszczęsną formą — cichutko — pokryjomu — gdy nikogo w kuchni nie było – wrzuciła w piec.

Rumieniec oblał jej oblicze. Na mocy skojarzenia wrażeń stanęły jej przed oczyma inne obrazki tego gatunku; więc ciepły, jeszcze dobry serdak, ciepłe pantofle domowe pana, różowy wełniany szal pani i wiele, wiele innych przedmiotów, które kończyły zwój byt w ognistym żarze Hanusinej kuchni.

Broniła się Hanusia przed temi wspomnieniami, gdyż poraz pierwszy wstydziła się sama siebie z tego względu. Dotyczas zdawało się jej, że państwo lubią się z niej natrząsać, a dziś słyszy ustawicznie słowa O. Dyrektora: „Naprawcie, zeszyjcie i dajcie biednym."

Po obiedzie, po obmyciu naczynia, zabrała się Hanusia do naprawy rozdartej przed miesiącem sukni. Wsadziwszy na nos okulary, całym wysiłkiem woli przymierza łatę, fastryguje, a nie widzi nawet, że przez w pół otwarte drzwi, wiodące do pokoju, patrzą na nią i pani i panienka i panicz, zdumieni nowym charakterem Hanusi z gatunku krawcowych. Hanusia tak jest zajęta pracą, że nie słyszy nawet parskania śmiechu, którym dusiły się dzieci za drzwiami naśladując krawieckie ruchy dziewczyny.

Natrudziła się, namęczyła, lecz... naprawiła. Wprawdzie ściegi były potężnych rozmiarów, lecz widocznie hołdowała dziewczyna z całego serca zasadzie dzisiejszych czasów: „im więcej, tem lepiej".

Położywszy się wieczór nie mogła zasnąć. Z żalem wspominała sobie okrycia, poniszczone przez siebie bezmyślnie.

Zasnęła... Lecz i teraz męczą ją sny. Widzi ciepły wełniany sweter, który przybliżał się do niej i stroił dziwaczne miny, irytując się na nią, że za drobną dziurę pod pachą obróciła go na ścierkę do podłogi. Tam znów wymachuje rękawami ciepły kaftan, pozbawiony istnienia w płomieniach. Różne te okrycia nabierały jakichś kształtów, wołały doń, patrzyły z wyrzutem na dawną właścicielkę.

Już dość miała Hanusia za siebie. Rano poszła na strych i w swym koszu znalazła przez zapomnienie dawno już tam zostawioną kołdrę. Zniszczona była, lecz przy obecnej dobrej woli Hanusi, będzie z niej pożyteczny przedmiot. Wyszukała czerwonej materji, załatała i już jest cała. Przyszywając guziki zauważyła wśród znajdujących się przy kołdrze jeden wielki, czarny guzik i przypomniała sobie, że jest on od flanelkowego kaftana od pani, spoczywającego obecnie na dnie jej kufra.

Jakże cieszy się Hania. Dziękuje Bogu, że mimo swej lekkomyślności i ona znalazła parę przedmiotów. Słuszność miał O. Dyrektor, gdy twierdził, że w każdym domu znajdują się bezużytecznie leżące przedmioty do odzienia, które można wykorzystać.

Pani dowiedziawszy się o przyczynach pracy Hanusi dodała jej suknię z siebie i panienki, nieco bielizny, a nawet panicz prosił, by dała ciepły, wełniany szal i kurteczkę chłopięcą, z której już wyrósł.

Radość Hani nie miała granic. Uzbierała się spora ilość przedmiotów i z dumą zaniosła pakunek do sali zebrań dla biednych.

Zmieniła się Hanusia. Często przychodziły jej na pamięć słowa O. Dyrektora: Zaszyj, napraw i daj biednym.

Frater.

Co może wyobraźnia!

Przed kilku laty urządzono w mieście T. jakiś zjazd. Troskliwy komitet zajął się rozmieszczeniem gości na czas uroczystości. Nadspodziewana ilość gości sprawiła, że dwóch panów, dość późno zresztą przybyłych, musiano z braku pomieszkań umieścić w jednym pokoju. Nieszczęście chciało, że jeden z nich, który sądził, że cierpi na astmę, zawsze chciał spać przy otwartem oknie, bo stale było mu duszno; a drugi przeciwnie, stale zamykał okno z obawy, aby przez przeziębienie nie rozwijać mniemanej gruźlicy. — Świeżo odbyta podróż wyczerpała ich całkowicie, to też bez zwłoki ułożyli się do snu. Po zgaszeniu światła „chory na astmę" przypomniał sobie, że w pokoju będzie duszno, zerwał się z łóżka i otworzył okno. Ale zaledwie się położył, a już „suchotnik" okno zamykał. Otwórz pan okno, bo się uduszę — wołał „chory na astmę". Bezskuteczne były wołania, gdyż „suchotnik" nie chciał o tem wcale słyszeć i najspokojniej poszedł do łóżka. Nie było innej rady, musiał sam wstać, by znów otworzyć, lecz nie na długo, bo „suchotnik" powtórnie najspokojniej w świecie wstał i zamknął okno. „Praca" ta nie obeszła się bez wymiany przykrych słów. „Chory na astmę" nie daje za wygraną, tembardziej, że błysła mu szczęśliwa myśl. Otwierał już nie będę — pomyślał sobie — bo znów mi zamknie. Mam zato inny sposób i — chwyciwszy za laskę stojącą przy łóżku, rzucił nią w kierunku okna. Brzęk padającego szkła doprowadził „suchotnika" do ostatniej pasji. Szyby wybite. Poznał złość współlokatora, który staje się teraz przyczyną jego przeziębienia i przyspiesza mu śmierć. Tymczasem towarzysz nie zważał na żadne narzekania, ale sapiąc z zadowolenia, oddychał pełną piersią. Po pewnym czasie narzekania ustały, a sapanie przemieniło się w głośne chrapanie. Zasnęli.

Nazajutrz sprawca awantury zrywa się pierwszy z łóżka, aby zobaczyć, za ileż to szyb musi zapłacić. I o dziwo! Czy wczorajsze zajście było tylko sennem marzeniem? Szyby całe. Mimowoli rzucił okiem na podłogę i... ujrzał stłuczone lustro. Zrozumiał sytuację. Niefortunna laska zamiast szyby, zbiła lustro.

A jednak wczoraj delektował się świeżem powietrzem. Co za złudzenie! Czy nie mógł ustąpić towarzyszowi?

Z KRONIKI ŻAŁOBNEJ

Dnia 1-go grudnia 1931 r. o godź. 7 1/2 rano zmarła w Coueron we Francji, gdzie pracowała w polskiej kolonji S. Salezja Sercanka. W przeddzień śmierci jeszcze o godź. 6-tej wieczorem miała lekcję ze starszemi dziećmi a potem w trakcie, gdy czytała „Jasełka", które miano grać na Boże Narodzenie, dostała ataku paraliżu. Mimo pomocy lekarskiej choroba stawała się coraz groźniejszą. Opatrzona św. Sakramentami, w chwili gdy jej usta szeptały „Wierzę" a ręką kreśliła znak krzyża straciła przytomność, której już nie odzyskała. W czasie półtorarocznego pobytu swego w Coueron śp. S. Salezja. pozyskała sobie pracą i poświęceniem serca wszystkich. Odeszła rychło do Jezusa. Wieczne odpoczywanie racz Jej dać Panie, niebo niech stanie się Jej udziałem. *Kurjer Nadzwyczajny*

Serdecznym modlitwom Braci i Sióstr poleca się duszę śp. S. Anny Franciszki Drozdowskiej R. I. P.

OPŁACONO RYCZAŁTEM

ADRES ZWROTNY:
ADMINISTRACJA „POCHODNI SERAFICKIEJ"
O. O. Franciszkanie — Kraków.

KALENDARZYK NA LUTY

z uwzględnieniem odpustów zupełnych 3-ch Zak. Franciszkańskich (Z. F.) i absolucji generalnej dla członków III. Zak. A. G.

1. P. S. Ignacego b. m. bł. Werydjany p. III Zak. Z. F.
2. W. **Matki Bożej Gromnicznej** A. G.
3. S. S. Błażeja b. m. Bł. Andrzeja w I Zak. Z. F.
4. Cz. S. Andrzeja b. S. Józefa z Leoniszy w I Zak. Z. F.
5. P. S. Agaty p. m. Św. Męczenników japońskich Z. F.
6. S. S. Tytusa b. S. Doroty p. m.
7. **N. Zapustna** S. Romualda Op. Bł. Bizerjusza w Z. F.
8. P. S. Jana z Maty w.
9. W. S. Cyryla Aleks. b. d. K. S. Apolonji p. m.
10. S. Popielec S. Scholastyki p.
11. Cz. Matki Bożej z Lourdes
12. P. SS. 7. założycieli Serwitów
13. S. S. Grzegorza II pap.
14. **N. Wstępna** S. Walentego
15. P. Przeniesienie Ciała św. Antoniego Pad. SS. Faustyna i Jowity
16. W. Bł. Filipy z Marerjo p. Z. F.
17. S. Bł. Łukasza z Bel.
18. Cz. S. Symeona b. m.
19. P. S. Konrada w III Zak. Bł. Piotra z Turcji w I Z. Z. F.
20. S. S. Leona b.
21. **N. Sucha** S. Feliksa
22. P. S. Małgorzaty z Kortony Pok. III Zak. Katedry św. Piotra Z. F.
23. W. S. Piotra Damjana b. w.
24. S. S. Sergjusza
25. Cz. S. Macieja Apost.
26. P. S. Wiktora
27. S. S. Aleksandra m. Leandra b.
28. **N. Głucha** S. Teofila
29. P. S. Rufina

Za pozwoleniem Władzy Zakonnej i Diecezjalnej.

Redaktor O. Czesław Kellar franciszkanin.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie